№ 49. Warszawa, dnia 26 Listopada (8 Grudnia) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBOT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Mary Somerwille.

(Dokończenie.)

Uczona angielka, oprócz skromności w ocenianiu pracy własnej, odznaczała się jeszcze przymiotem rzadkim nawet u mężczyzn, genialnem łączeniem szerokiego poglądu na ogół nauki z drobiazgową znajomością szczegółów. Jest to nieoszacowany przymiot pisarza pragnącego być popularnym, któremu zwykle się zdaje, że szczegóły te tak są dobrze znane każdemu jak jemu samemu, w rozprawach więc swych posługuje się niemi bez objaśnień i tym sposobem dla ogółu staje się nieprzystępnym. Jeden bowiem wyraz niezrozumiały, własność, siłę lub skłonność znamionujący, zaciemnia całe dowodzenie i naturalnie czytelnika odstręcza od zajęcia czas mu bez korzyści zabierającego.

Tak piszących u nas, a raczej kompilujących i niby popularyzujących wiadomości naukowe, mnóstwo i dlatego w większej części wydawnictwa tego rodzaju, żadnej nie mają wartości i kupujących narażają na zawód i straty już bezpowrotne.

Mary Somerwille umiała właśnie tak pisać jak powyżej powiedzieliśmy i pilnując zawsze ścisłości naukowej a stroniąc od powierzchownego dyletantyzmu, przystępna dla wszystkich, od wszystkich także uznania zyskiwała.

Najlepiej dowiodły tego dwa dzieła: O związku wzajemnym nauk przyrodzonych i fizyczna jeografia. Pierwsze dziełko wydane w roku 1834 otworzyło autorce drogę do królewskiego towarzystwa naukowego, do którego dostają się tylko prawdziwe i już uznane znakomitości naukowe, i nadto doczekało się dziewięciu wydań: za drugie zaś dedykowane sławnemu uczonemu Janowi Herschlowi, towarzystwo jeograficzne na cześć pani Mary Somerwille wybiło medal pamiątkowy. Oba te dzieła wydano jeszcze w tłomaczeniu po włosku, francuzku i niemiecku i to nie raz ale kilka razy, co naturalnie wielką ich wartość potwierdza.

Wszyscy też znamienici mężowie w Anglii, zarówno uczeni jak i nauk miłośnicy, uważali panią Somerwille, za pierwszorzędną znakomitość w gronie uczonych i zawiązawszy z nią stosunki popierali jej naukowe dążenia.

Towarzystwa naukowe współubiegały się z rządem w oddawaniu czci jej zasłudze, a królewskie towarzystwo w Londynie umieściło biust jej obok Newtona. Na stałym lądzie Europy, Aleksander Humboldt i Franciszek Arago, z wielkiem zajęciem skreślili jej działalność naukową, a ten ostatni nie żałował nawet czasu na przełożenie po francuzku głośnej Geografii fizycznej.

Mary Somerwille, jak już powiedzieliśmy, mieszkała prawie bez przerwy w Londynie od chwili powtórnego wyjścia zamąż, lecz w roku 1838 doktor Somerwille zgnębiony chorobą nabytą w dalekich podróżach zamorskich, uwolnił się ze służby i wraz z rodziną, to jest z żoną i córkami, wyjechał w kraje cieplejsze do Włoch, gdzie pobyt dla bardzo cierpiącego przez największe powagi lekarskie naznaczony został.

Najpierw państwo Somerwille osiedli w Rzymie, gdzie przepędzili kilka lat, robiąc częste wycieczki letnie do Syeny, Perugii i Bolonii. Potem przenieśli się do Wenecyi, co było pomysłem niebardzo szczęśliwym. Zdrowie chorego pogorszało się, postanowiono zatem wrócić do ojczyzny, ale siły pana Somerwille okazały się do tego niewystarczające i znowu musiano się przenieść w strony słoneczne więcej południowe. I tak przenosząc się z miejsca na miejsce od roku 1852, obrano sobie Florencyą za stałą siedzibę. Przez cały ten czas, aż do roku 1860, w którym doktor Somerwille osiemdziesięcioletni starzec, rozstał się z tym światem, żona nie opuściła go na chwilę i wobec obowiązku serca, wyrzekła się nawet pociechy, jaką jej nauka dawała. Po śmierci męża wdowa i dwie jej córki mieszkały naprzemian to w Spezzia, to w Turynie, aż nakoniec w 1867 roku przeniosły się stanowczo do Neapolu.

Tutaj, w pośród uroczej piękności natury, obudziło się znowu w pani Somerwille dawne zamiłowanie przyrody i chęć badania jej naukowego. W roku 1869 mając już lat ośmdziesiąt dziewięć, wydała jeszcze dwu tomowe dzieło: O umiejętnościach molekularnych i mikroskopijnych, w któ-

rem streściła najnowsze rezultaty chemicznych poszukiwań za pomocą mikroskopu.

Porę letnią pani Somerwille przepędzała w Sorrento, zkąd już późną jesienią wracała zwykle do Neapolu. W roku 1872, tam także lato przepędziła i tam zmarła dnia 29 Listopada tego roku, bez cierpień i choroby do ostatniej chwili pełna życia i przytomności.

W ostatniem dziesięcioleciu życia swego, napisała obszerną własną autobiografią, wydaną później na widok publiczny. Zbyteczną zdaje się być wzmianką, iż Mary Somerwille zajmowała przez swą naukę, wysokie w społeczeństwie angielskiem stanowisko. Rodacy jej przebywający we Włoszech, składali jej często hołdy uznania i dowody wielkiego poszanowania tak dla wieku jej jak i uczoności.

Nikt ze znakomitych osób nie ominął Florencyi, bez odwiedzenia państwa Somerwille. Urok zresztą tej kobiety stanowiła nietylko nauka, lecz zarazem piękny charakter i zacne poczciwe serce. Jeden z podróżników, mający sposobność do częstego przebywania w jej towarzystwie powiada:

„Nigdy może i u nikogo może nie spotkam takiego skojarzenia przeciwieństw: z jednej strony wysoka zdolność do nauk tak niedostępnych dla kobiet wogóle, z drugiej zdolność i upodobanie w sztukach pięknych. Kobieta, która tak silnie zapanowała nad całym skarbcem nauk matematycznych i przyrodzonych, która znała dokładnie klasyczną i nowożytną literaturę, ta kobieta nie bez talentu też malowała i rysowała krajobrazy z natury. Do ostatnich chwil życia lubiła towarzystwo i dowcipną rozmowę, a przy tem wszystkiem była wzorową żoną, matką, przyjaciołką a i gospodynią także kuchnią niepogardzającą.

Nauka zatem nie przeszkadza pełnienia wzorowo tych powszechnych kobiet obowiązków, gdyby bowiem rzeczywistą stanowiła tamę do ich wykonywania, to Mary Somerwille przy swej uczoności i zapale do nauki, powinna była zostać niemal potworem jako kobieta, żona, matka i gospodyni.

„Kiedy w Maju roku 1873, powiada dalej ów podróżnik, odwiedziłem panią Somerwille w Neapolu, dziewiędziesiątletnia ta kobieta pracowała codziennie kilka godzin rano nad matematyką, przyczem, jak to oddawna było jej zwyczajem, leżała na wygodnym szezlągu. Przed obiadem czytywała dla rozrywki Herodota w oryginale, a więc w starogreckim zamarłym języku, nazajutrz znów nowe dzieło Darwina, którego nie była stanowczą zwolenniczką. Chwaliła w nim bystrość spostrzegawczą, przypuszczała przemiany pewne w gatunkach odpowiednie do miejscowości przez nie zamieszkanych, ale nie godziła się na zmianę natury tworów żywych, do tego stopnia, iżby wszystkie jakie są na świecie od kilku lub kilkunastu typów pochodziły.

Po południu wyjeżdżała na świeże powietrze lub u siebie przyjmowała gości, wieczorem zaś, przerzuciwszy gazety, brała do rąk kobiecą robótkę, przy której nie używała okularów do samej śmierci. Słuch miała trochę przytępiony, ale wzrok zato jak najlepszy, skoro na pół roku przed śmiercią patrząc z okna swego na wybuch Wezuwiusza, odmalowała go na małym obrazku i posłała jednej ze swych krewnych do Anglii.

Co do powierzchowności, Mary Somerwille była za młodu bardzo przystojna, średniego wzrostu, wątłej budowy ciała, lecz pełna zdrowia wytrwałości i nadzwyczaj uprzejma. Skromna we wszystkiem, skromny żywot prowadziła i do końca życia skromną pozostawszy w zgrzybiałej nawet starości rumieniła się, gdy zasługi jej naukowe wychwalano.

Moje życzenie.

Gdybym miał władzę hojnego szafarza,
Co między ludzi rozdziela swe dary,
Wzniósłbym nad głową artysty-malarza,
Włoskiego nieba promienne obszary;
Poetę, który rzewnie stroi lutnię,
Obdarowałbym wraz z czułem westchnieniem,
Łezką niewieścią co płynie tak smutnie
Pod świeżem trenów pieśniarza wrażeniem.
Bohaterowi co nieszczędząc znojów,
Wyrosłszy dzielnym ziem ojczystych synem,
Krew swą przelewał wśród tysiąca bojów,
Dałbym grób, sławy usłany wawrzynem.
Ów sceptyk, który widzieć tylko pragnie
Świat murem pięciu zmysłów opasany,
A do prawd Bożych umysłu nie nagnie,
Niechby wziął próżnię indyjskiej nirwany.
Upadający pod nieszczęść brzemieniem
Nędzarz, dostałby w chwili ostatecznej
Skon cichy, błogi, olśniony promieniem
Jasnem i czystem pomyślności wiecznej.
Dziecię bez skazy o niewinnem czole,
Noszącem ślady matczynej pieszczoty,
Wzięłoby w darze ową aureolę,
Jaką promieni rój aniołków złoty.
Dziewica siatką ułudy motylej
Łowiąca rozkosz, owe cudne kwiaty,
Co w ciągu jednej krótkotrwałej chwili,
Chłodem zwarzone tracą swe pryzmaty;
Kobieta-żona zachwyt upojenia
Ognisty luby, w błogim dniu zamężcia,
Starzec lat młodych ubiegłe wspomnienia,
Które są echem przebrzmiałego szczęścia.

Rozdawszy wszystko czyż zostawię jeszcze
Coś z owych darów sobie w upominku?
O nie! ja nikłych mar złudy nie pieszczę,
Ja pragnę tylko ciszy i spoczynku!

Ludwik Niemojowski.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napierałską.

(Dokończenie.)

Widziałem czyn pani — oznajmił mi Sokoł. — Doskonale użyłaś pieniędzy. Kto wie, czy one nie opłacą życia tego dziecka, a jak to miło pomyśleć, że może pani tylko będzie ono zawdzięczało swą przyszłość. Co do mnie, miałem zaledwie rubla przy sobie. Nie było więc czego ofiarowywać.

Zarumieniłam się, słysząc tę pochwałę.

— Każdy czyn dobry — mówił dalej Sokoł — znajduje nagrodę w samym sobie, w owem uczuciu, jakie ogarnia po spełnieniu jego, a pola do takich czynów nigdy nie brakuje. Leży ono zawsze najbliżej nas.

— A ty Anusiu — zapytałam sama siebie, jadąc już powozem do Wólki — czy raczyłaś rzucić okiem na to najbliższe pole? Błagano cię o troszeczkę dobroci, a ty odwróciłaś się dumnie i to od kogo? Od tego, który ci przysiągł wieczną miłość i wierność. Nie oceniłaś jego serca niegdyś, dzisiaj, może już zapóźno na odzyskanie!...

Krótko trwała droga ze stacyi do domu i nic w niej nie zaszło godnego wzmianki.

— Pozwoli się pani pożegnać — rzekł Sokoł stając przed frontowemi drzwiami.

Struga światła padająca z lampy zawieszonej w przedpokoju, oblała werendę, więc cofnęłam się nieco w cień, z obawy, aby nie dostrzegł wrażenia płonącego na mej twarzy. Pewnieby je zmroził jednem swem spojrzeniem. Dokoła było cicho, tylko tentent oddalających się koni dobiegał z dziedzińca, piękna, gwiaździsta noc rzucała jakiś urok tajemny, aż nagle piersi moje przeszyło coś, podobne do zagłębiającego się sztyletu. To żal taki je ścisnął, na wspomnienie, że jutro, zanim jeszcze jutrzenka spłoszy ostatnią gwiazdę, ja będę już sama... w tym pustym dworze, wznoszącym się teraz fantastycznie w blaskach księżyca.

Sokoł po wyrzeczeniu pierwszych słów stał niedaleko mnie, niby w oczekiwaniu czegoś, chociaż sama nie wiedziałam czego mianowicie.

— Żegnam pana.

I wyciągnęłam doń rękę pierwsza. Ujął ją w obie dłonie i uścisnął lekko, bardzo lekko, przez kilkanaście sekund. Wyrwałam mu ją pierwsza i pobiegłam pędem do swego pokoju. Kolana ugięły się podemną, padłam na łóżko zadyszana...

Minęło długie, nieznośne długie cztery tygodnie. Mama, pani W. i wielu innych znajomych, odwiedzało Wólkę łaskawie.

— Pan Sokolski często pisuje? — zapytywano.

— O! o! — mówiłam wymijająco, z silnym rumieńcem.

— Muszą to być listy bardzo romantyczne, kiedy Anusia płonie na ich wspomnienie — podejrzywały panie głośno.

Tymczasem Anusia nie otrzymała ani jednej literki od swego męża. Ilekroć razy jednak zajeżdżali goście, wybiegała naprzeciw z uśmiechem, z wesołem słowem, lecz w duszy było jej smutno, ah! smutno, ale umiała to uczynić niedostrzegalnem, bo ani matka, ani pani W. te dwie tak przenikliwe osoby, nie badały więcej kwestyi stosunku z mężem. Znajomi zapraszali ciągle. Anusia nie korzystała z zaprosin. Nie chciało się jej opuszczać ścian domu mężowskiego.

Godziny całe przesiadywałam w gabinecie Sokoła.

Jakże to dziwne ogarnia uczucie, gdy się wchodzi do miejsca zamieszkania osoby, która zaczyna się wplatać w osnowę naszego życia.

Z każdego zakątka wychyla się jakiś przedmiot, drobnostka chociażby, mająca jakąkolwiek styczność z właścicielem i to właśnie sprawia owo błogie właściwe niewielu okolicznościom wrażenie. Czuje się tam wszędzie obecność danej osoby, obecność pozorną, mieszczącą w sobie niby przedsmak słodyczy, niekosztownej jeszcze.

Gospodarstwo, ślizgawka, spacery samotne, czytanie książek, cały, zwyczajny tryb życia wiejskiego, zajmował mi wiele czasu, ale nie pochłaniał w zupełności.

Zawsze nieproszona, niewzywana, niegodziwa myśl przyfrunęła do niespokojnej głowy, myśl o Sokole.

— Co on porabia w oddaleniu ode mnie? Czy w kole rodziny wspomina niekiedy tę, która mu zatruła wiele, wiele dni. Rok temu, uważałam go za najnieznośniejszego ze znanej mi młodzieży, a teraz...

Zimny, śnieżny wieczór otulił świat. Dokoła białą oponą pokryły się drzewa, domy i ulice. Głucha cisza panowała dokoła.

Jakie przyjemne są te długie, zimowe wieczory, pędzone w gronie miłych nam osób. Ja jednak samotnie spędzałam taki wieczór, siedząc przy piecu. Kiedy niekiedy z uderzonych szczypcami głowni, tysiące iskier wylatywało z sykiem w górę. Pokój cały zostawał w półcieniu, ogień tylko od czasu do czasu oblewał jaskrawym wężykiem przedmioty w nim będące. Trzaski, syczenia w piecu urozmaicały ciszę. Białe drzewa na podobieństwo duchów zaglądały w okna, w powietrzu drgały jakieś nieuchwycone dokładnie szmery... Straszno mi było czegoś... Stanęły nagle w pamięci wszyscy bohaterowie bajek, opowiadanych mi niegdyś przez niańki, to znów postacie krewnych, znajomych, którzy już obecnie pomarli... Ah! jak to źle samotnej kobiecie. Kiedyż wreszcie ten Sokoł wróci? Nie jego oczu, nie ust, nie tych szczegółów uderzających mnie niegdyś w Witalisie, żałowałam w Sokole. Nie! Opanowywała mnie tęsknota za tym poważnym umysłem, szlachetną duszą, pogodą na czole. Kiedyż wróci o! kiedy? Jakby w odpowiedzi wszedł rządca z oznajmieniem o liście od Sokoła.

— Pan dziedzic dziś przyjeżdża, pisze do mnie, o czem zapewne pani wie już sama.

Niby wstrząśniona prądem elektrycznym, zerwałam się z miejsca.

— Przyjeżdża! — wybiegło z mych ust drżącym głosem.

W tym jednym wyrazie mieściło się wiele. W kilka minut paliły się światła we wszystkich pokojach, ogień płonął wesoło w gabinecie męża, cały dwór ponury, niedawno uśpiony, ożywił się niezwykle. Bez opamiętania, zarzuciwszy biały kaptur na głowę, wybiegłam na werendę. Sokoł, mój brunatny Sokoł wraca. Wstyd, obawa, niepewność, toczyły w mej piersi zaciętą walkę. Trzask z bicza przerwał wahanie. Stałam przykuta do miejsca, a pragnęłam się znaleźć gdzieś daleko... daleko... Księżyc padł prosto na steczkę, którą biegł Sokoł... Jeszcze minuta, a będzie przy mnie... Może odepchnie... a może... Idąc za popędem uczucia wyciągnęłam ręce... On zatrzymał się... Później jednym skokiem pośpieszył na werendę.

— Jasiu! — szepnęłam bezwiednie.

Postąpiłam krok naprzód... noga się pośliznęła... przymknęłam oczy... mocne ramiona objęły mnie, cisnąc do piersi...

— Anusiu, tyś już moja?

— Twoja — brzmiała cichuteńka odpowiedź, na ustach w serdecznym złączonych pocałunku.

W tej chwili zapomniałam o całym świecie... Na białym kobiercu, skąpani w świetle księżyca, staliśmy oboje w wzajemnym uścisku... Minął bezpowrotnie szał przeszłości. Przyszłość otwierała nam złocone podwoje szczęścia. Mąż nie dowiedział się nigdy o mych najpierwszych zapałach, mama nie widziała więcej bladości i zmieszania na twarzach naszych. W sercu Anusi nastąpiło ostateczne przesilenie.

KONIEC.

Schronienie nauczycielek.

Na oddalonym krańcu Kruczej ulicy, ukryta skromnie wśród zieleni, mieści się w nizkich maleńkich pokoikach, jedna z najsympatyczniejszych instytucyi Warszawy. Ci, którym los młodego pokolenia nie jest obojętnym, którzy poczuwają się do najlżejszej dla wychowawców jego wdzięczności, wiedzą, że to przytułek wzniesiony dla weteranek ciężkiego nauczycielskiego zawodu.

Sprawozdanie za rok zeszły, ogłoszone przez zarząd *Schronienia*, pozwala nam przypomnieć ogółowi zadanie i cel, tej zasługującej na poparcie instytucyi. Dowiadujemy się z cyfr tych, iż w ciągu ubiegłego roku znajdowało się w *Schronieniu* mieszkanek stałych 22, czasowo płatnych 70, czasowo niepłatnych 8, ogółem 100, a przebyły one dni instytutowych 11,112.

Sto więc nauczycielek pozbawionych chwilowo lub zupełnie dachu, znalazło tu punkt oparcia, a dług społeczeństwa względem tych pełnych poświęcenia często, a źle wynagradzanych pracownic, zmniejszył się o 11,112 dni.

Zresztą nie wspominajmy nawet poświęcenia, nie żądajmy go, bo nikt właściwie nie ma prawa ofiar jakichś wymagać. Wystarcza, iż kobiety te pracowały jak mogły i umiały, wystarcza, iż oddały życie całe na pożytek ogółu, aby ogół ten poczuwał się w chwili sterania sił nauczycielki, do zapewnienia jej dachu i spokoju na stare lata.

Zobaczmy teraz jakim kosztem *Schronienie* wywiązuje się z podobnego zadania:

Sprawozdanie poucza nas, iż żywność jednej osoby kosztowała tu dziennie 22 kop., całkowite zaś utrzymanie, z odzieżą, opałem, światłem, bielizną, komornem, usługą i t. d., 48 kopiejek dziennie.

Jak widzimy więc o zbytkach nie może tu być mowy, jest tylko zaspokojenie nieodbitych potrzeb. A że fundusze Schronienia bardzo są ograniczone, tem chętniej też panie nasze, wdzięczne za wychowanie swych dzieci, lub myślące dopiero o niem, powinny dokładać drobną chociaż cegiełkę, do tej użytecznej a dla zasłużonych wzniesionej budowli.

Przyjść to im może tem łatwiej, iż *Schronienie* posiada u siebie kantor stręczeń nauczycieli i nauczycielek, bon i guwernantek, kantor, który więcej chyba od przedsiębierstw prywatnych zasługuje na poparcie.

W zakończeniu wreszcie, niech nam wolno będzie, przytoczyć dla tych, którzyby się z sympatyczną instytucyą bliżej zapoznać chcieli, dwa podstawowe paragrafy z jej ustawy:

§ 1. Celem Schronienia jest dostarczyć: *a*) ciągłej opieki nauczycielkom, pozostającem tak w służbie rządowej, jako i prywatnej, niemogącem dla wieku podeszłego, choroby, lub kalectwa, pełnić obowiązków, tudzież pozbawionem opieki domowej; *b*) nauczycielkom, zostającem wyjątkowo bez miejsca udzielanie chwilowego przytułku do czasu znalezienia zajęcia.

§ 3. Schronienie zakładają i utrzymują dobroczyńcy płci obojej, liczba ich nie ogranicza się. Do nich należą: *a*) założyciele i założycielki, ofiarujący jednorazowo nie mniej jak 3,000 rs. lub też zobowiązujący się opłacać w ciągu lat 10, po 150 rs. rocznie; *b*) członkowie rzeczywiści, płacący po 10 rs. rocznie; *c*) członkowie ofiarodawcy, płacący po 5 rs. rocznie i *d*) członkowie honorowi, wybrani przez Radę Opiekuńczą w nagrodę zasług położonych dla Schronienia i ci są wolni od wszelkiej opłaty.

Pięć rubli rocznie, to tak nie wiele. Czyż nie warto poświęcić dla weteranek, jednej pary balowych rękawiczek, lub jednej zamiejskiej wycieczki?

Anat. Krz.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Upłynęło może cztery dni od jego wyjazdu, gdy Emilia szukając w wieczornym dzienniku sprawozdania z jakiejś wystawy, napotkała artykuł mniej więcej następującej treści:

„Mówią w wyższych sferach, że mająca się utworzyć spółka na czele której stanął jeden z naszych znakomitych finansistów i znany mąż stanu, nie dojdzie prawdopodobnie do skutku z powodu tajnych intryg spekulantów angielskich. Mówią nawet, że Izba ma cofnąć zapomogę pieniężną, przyznaną już poprzednio. Francya oszukana przy robotach kanału Suezkiego, nie chce narażać się na nowe straty i zbogacać przedsiębierców obcych krajów.”

Trochę niżej Emilia przeczytała znowu:

„Donoszą nam, iż senator Lereboulley ma zamiar wyjechać do Rzymu, gdzie traktować ma z rządem włoskim o warunkach pożyczki potrzebnej do popierania kolonii politycznych.”

Tym sposobem wszystko się wyjaśniało. Pierwsza wiadomość podkopywała zaufanie ogółu co do powodzenia zawiązującej się spółki, gdyż wzmianka bezwarunkowo do niej się odnosiła, druga zaś miała na celu dowieść, że Lereboulley nie zajmował się już tym interesem skoro nie czekał na rozpoczęcie działania towarzystwa i właśnie w tym czasie wyjeżdżał do Włoch.

Emilia przerażona zaczęła przeglądać kurs giełdy i wkrótce zdawało jej się, że czyta krwawemi zgłoskami wyryte następujące słowa:

„Akcye towarzystwa podwodnej liny spadły o sto franków. Młoda dziewczyna jakby tajemnem ostrzeżona przeczuciem, w jednej chwili odgadła całą prawdę, zrozumiała, że Ludwik spekulował na podwyżkę kursu, i że obniżenie, którego skutki i przyczynę widziała razem, obliczone było na jego zgubę. Cisnęła dziennik i czemprędzej pobiegła do ojca, chcąc go prosić, błagać i użyć całego wpływu dla ocalenia Ludwika. Na nieszczęście senator wyszedł i kazał nawet uprzedzić córkę, że nie przyjdzie na obiad.

Rozkazała więc zaprządz i pojechała do pałacu Hérault. Tam zastała list od Ludwika, w którym oprócz pospolitych czułości była także i zapowiedź rychłego powrotu. Panna Lereboulley nie chciała zawcześnie dręczyć Helenę oznajmieniem nieuniknionej katastrofy i nawet jednem słówkiem nie zdradziła miotającej nią obawy.

Nazajutrz rano udała się do pokoju ojca. Senator świeżo ogolony siedział już przy stoliku na którym zastawiono śniadanie i popijał aromatyczną herbatę z wytwornej srebrnej filiżanki. Ujrzawszy córkę podniósł się a na twarzy jego odmalowało się zadowolenie.

— Jakto, już wstałaś, cóż to się stało? — rzekł przyciągając ją w objęcia i serdeczny pocałunek składając na jej czole. Domyślam się, że cię tu sprowadza coś niezwykłego, nigdy nie przychodzisz tak rano.

Kiedy indziej Emilia przybierając żartobliwą minę powiedziałaby ojcu:

— Ojczulku! najczęściej tak rano nie znajdujesz się jeszcze w domu!

Ale dziś nie była w usposobieniu do żartów i rzekła bez żadnego wstępu:

— Co się stało, to chyba ojciec mnie objaśni. Przeczytałam w gazetach, że akcye towarzystwa podwodnej liny zamiast iść w górę spadły o sto franków... Co to ma znaczyć?

Senator szybko zrzucił szlafrok a naciągając tużurek, obrócił się z uśmiechem do córki.

— Jakto, Emilka pyta mnie o kursa giełdowe? — rzekł wesoło. — A cóż cię to może obchodzić, kochana córeczko?... Lepiej pozostań w swojej ulubionej artystycznej sferze a lepiej na tem wyjdziesz pieszczotko.

— Ależ mój ojcze, proszę cię, wytłomacz mi co znaczy to nagłe spadanie akcyi?

— Wszystko to są intrygi wymyślone przez Izbę syndyków.

— Nie rozumiem jednak tych artykułów w gazetach, oznajmiających, że ty wycofujesz się ze spółki?

— Brednie, nic więcej, tak jak wszystko co drukuje prassa... Prawda wyjdzie na jaw później i akcye dojdą do kursu, jaki powinny mieć w istocie.

— Tak, ale tymczasem obniżka ich zrujnuje wiele osób.

— No tak, bezwątpienia!... Ale cóż chcesz? To zwykły rezultat walki między przemysłowcami, tak jak rany i śmierć są koniecznym rezultatem bitwy między żołnierzami... Biada zwyciężonym! To hasło wojenne każdego człowieka!

Emilia przysunęła się do ojca i zapytała z powagą:

— Czy możesz mi dać słowo, że między zwyciężonemi nie ma Ludwika Hérault?

W jednej chwili twarz Lereboulleya przybrała tak srogi wyraz, że córka aż się przelękła a trwoga jej spotęgowała się jeszcze więcej, gdy senator niezwykle szorstkim głosem odpowiedział:

— O! panienko! nie brak ci przenikliwości, skoro odgadłaś tak zawikłaną kwestyę! Niepokoisz się o twego przyjaciela i pytasz co się z nim stanie?... Powiem ci więc otwarcie, że ponieważ śmiał wejść mi w drogę, zgniotłem go jak zgniotę wszystkich co chcieliby pójść za jego przykładem!

— A co się stanie z jego babką, żoną i dziecięciem?

— Przecież to on powinien o nich myśléć.

— Czy dlatego, że Ludwik postąpił niegodziwie inni mają go naśladować?

— Moja córko, zapominasz do kogo mówisz.

— Niestety! gdybym mogła o tem zapomnieć!

Słowa te wymówiła z tak rozdzierającym smutkiem w głosie, że Lereboulley zadrżał głęboko wzruszony a przyciągając Emilię w objęcia rzekł:

— Emilio, proszę cię, moje dziecko, nie mieszaj się do kłótni i nie sądź mnie z pozorów... Wiesz jak cię kocham!... To co powiedziałaś zakrwawia mi serce... O! dziecię moje, niech nic nie staje między nami, ani gniew, ani nieufność... Pozostań zdala od tych szkaradnych intryg... Nie wchodź w tę kałużę o którą naprożno powalałabyś swoje szaty. Wiesz, że nie jestem złośliwy i nie uczyniłbym bez powodu nic złego nikomu... Ale Ludwik postąpił niegodnie, znieważył mnie, upokorzył i stał się przyczyną największego mojego zmartwienia!... Upewniam cię, że on jest niegodny twojego współczucia... Gdybyś ty wiedziała... Ale ty wiesz z pewnością wszystko i jeżeli się za nim wstawiasz to tylko ze względu na jego rodzinę... Uspokój się więc, dla rodziny jego zrobię wszystko co zechcesz. Wszak to starzy przyjaciele... taka dawna znajomość... nie zapomnę przecież o tem... zapewnię im majątek, przyrzekam ci to... Lecz on musi uledz pod moją przewagą, ja muszę go poniżyć... Tak być musi, jak jestem Lereboulley!

Mówiąc to senator posadził córkę na kolanach, ściskał ją i pieścił, chcąc przekonać o słuszności swego dowodzenia. Emilia chłodno przyjmowała te oznaki przywiązania obliczając w myśli doniosłość tego co usłyszała przed chwilą.

— Jestem przecież bogatą! — zawołała wreszcie zrywając się z kolan ojcowskich. — Osobisty mój majątek przypadający mi po matce, jest znaczny, a żem ja już pełnoletnia i pani mej woli, mogę zatem dopomódz Ludwikowi...

— Rzuciłabyś pieniądze w błoto — odparł Lereboulley. — Ludwika już nic uratować nie zdoła!... Musi wszystko zapłacić, albo zlicytują go ze szczętem.

— Ale gdzież on jest? co robi? — zawołała z rozpaczą Emilia. — A jeśli posunął się do jakiegoś ostatecznego kroku? Kto wie czy w przystępie szału nie odbierze sobie życia!... Pomyśl ojcze jakiby to był dla nas wyrzut sumienia!

— On miałby się zabić? — zawołał Lereboulley głośnym wybuchając śmiechem. — Nie przypuszczaj nawet tego! Pytasz gdzie on jest? Chyba powinnabyś domyśléć się tego. Wczoraj powróciwszy z Londynu, zajechał wprost do pani Olifaunt i na chwilę nie wyszedł od niej... Teraz już wiesz co robi!

Rozpacz i smutek szarpały naprzemian sercem Emilii. Zniechęcona pochyliła głowę, teraz sama nie wierzyła już w powodzenie sprawy, której pragnęła bronić.

— Cóż ja mogę dla niego uczynić? — spytała po chwili.

— Postaraj się, żeby wrócił do domu i odtąd nie zaniedbywał tak niegodnie domowego ogniska!...

Emilia westchnęła i nie pocałowawszy nawet ojca na pożegnanie, wolnym krokiem wyszła z pokoju.

XI.

Powróciwszy z Londynu w stanie moralnego odrętwienia, którego musiał doznawać Napoleon po klęsce pod Waterloo, Ludwik zastał panią Olifaunt spokojną nad podziw i z pogodną filozofią znoszącą straszną wieść ruiny majątkowej Hérault. Gdyby Ludwik był obdarzony bardziej spostrzegawczym zmysłem, spokój ten byłby mu wyjawił całą prawdę. Nawet sir James jak gdyby czerpiąc otuchę w jakiej tajemniczej nadziei, spokojnie znosił swój los, pomimo że zawsze tak się troszczył o tych poczciwych mularzy, którzy pracowali nad zbogaceniem Dianny.

Ludwik spodziewający się wybuchów rozpaczy i ciężkich wyrzutów, odzyskał w jednej chwili zimną krew i spokojnie zastanowił się nad swem położeniem. Czekały go wypłaty olbrzymich sum pieniężnych, dopełniwszy ich będzie zrujnowany, ale honor przynajmniej zostanie ocalony. Razem z tem przeświadczeniem zabłysła mu w duszy nadzieja, że przy wytrwałości, energii i zupełnej zmianie trybu życia, zdoła podnieść się z upadku. Najpierwszym warunkiem tej zmiany była konieczność zerwania z Dianną. Raz już należy wyrzec się rozwiązłego życia i stać się porządnym człowiekiem.

Mając w pałacu państwa Olifaunt wyłącznie dla siebie urządzony gabinet, Ludwik udał się tamże i spoczywając w wygodnym fotelu przed kominkiem, przebiegał myślą wszystkie wypadki minionego roku. Nagle jakieś światło rozjaśniło jego umysł i z goryczą powiedział sobie, że wrażenia jakim ulegał hańbę tylko i wstyd mu przyniosły. Dla zadowolenia szkaradnej namiętności roztrwonił olbrzymi majątek i zniweczył szczęście najdroższych mu istot.

Przed oczami wyobraźni zjawili się nagle ci względem których tak okropnie zawinił, ujrzał ich wszystkich zebranych w saloniku na przedmieściu Poissonierè. Babcia robiła pończochę, Helena blada trzymała na kolanach Piotrusia i uczyła go mówić. Dziecię uważnie patrzyło na usta matki i usiłowało powtarzać usłyszane dźwięki a skoro mu się udało pochwycić jaki wyraz, śmiało się i klaskało w drobne rączki. Zdawało się Ludwikowi, że słyszy wyraźnie dwa głosy: głos żony poważny i smutny, i pieszczotliwy, łagodny głos dzieciny. Obydwa głosy zlewały się w jeden wyraz jak gdyby swemu wołaniu chciały nadać więcej trwałości i mocy.

— Ojcze! ojcze! — wołały.

Zamknął oczy, aby nie patrzéć na ten obraz, który krew lodem ścinał mu w sercu, lecz głosy szeptały mu wciąż do ucha coraz czulej, coraz błagalniej. Wtedy Ludwik zerwał się z miejsca, spojrzał na około siebie i ze wstrętem spuścił wzrok ku ziemi. Widok tego obcego pokoju sprawił mu przykrość a myśl, że zamiast u żony znajduje się u kochanki, rumieńcem wstydu oblała jego czoło. Chwycił za kapelusz i wyszedł z pokoju.

Zastał panią Olifaunt przy gotowalni, zajętą gładzeniem rozlicznemi narzędziami prześlicznych różowych paznokci. Nieprzerywając tak ważnego zajęcia, wskazała Ludwikowi krzesło.

— Czy już zapanowałeś nad swem rozdrażnieniem? — spytała obojętnie. — Doprawdy wczoraj

wieczór zaniepokoiłeś mnie bardzo... byłeś taki nieznośny!...

— Zdaje się, że to nic dziwnego — odparł ze słabym uśmiechem Ludwik.

— Czy postanowiłeś już cośkolwiek?

— Naturalnie.

— I cóż takiego?

— Wszak nie mam drogi do wyboru. Spodziewam się, że ani na chwilę nie przypuszczałaś, że będę szukał jakich wybiegów... Zapłacę wszystko com winien... a później zobaczę co mi wypadnie uczynić.

— Zanadto cię znam, mój drogi Ludwiku, abym miała wątpić o szlachetności twoich zamiarów, nie o interesach też mówiłam przed chwilą. Wszystko ułoży się pomyślnie, wiem to dobrze, jeśli tylko powierzysz kierunek interesów światłemu prawnikowi.

— Notaryusz mój pan Talamon jest człowiek młody, czynny i bardzo wykształcony, a przytem serdeczny mój przyjaciel... dam mu więc pełnomocnictwo do działania.

— Bardzo słusznie. Ale sprzedaż wszystkich twoich nieruchomości będzie dla ciebie niezmiernie przykrą rzeczą. Ludzie będą gadać, robić spostrzeżenia i uwagi...

— Będzie to tylko sprawiedliwa kara za wszystkie popełniane przezemnie głupstwa — przerwał jej oschłym tonem Ludwik.

Dianna podniosła wzrok na niego.

Akcent z jakim Ludwik wymówił ostatnie słowa, świadczył o zupełnej zmianie uczuć i myśli mówiącego.

— Ja i sir James wyjeżdżamy na kilka tygodni — zaczęła. — Czy będziesz nam towarzyszył?

— Wiesz, że to niepodobieństwo — odparł chłodno.

— Dlaczego? — spytała Dianna przybliżając się do niego i czarując go spojrzeniem swych błękitnych oczu.

— Dlatego, że położenie moje zmieniło się zupełnie i nie mogę już tego samego wieść trybu życia.

Kobieta z pieszczotliwym wdziękiem przytuliła się do niego, oparła jasnowłosą głowę na jego ramieniu, tak że oddychał niemal wonią jej warkoczy i szeptała mu czule do ucha:

— Czy mnie już nie kochasz? Jeśli chcesz, pojedziemy do Włoch, ponad błękitne jeziora, do krainy róż i słońca i tam zapomnimy o wszystkiem co nie jest naszą miłością.

On jeszcze raz powtórzył: „To niepodobieństwo!" a gdy Dianna serdeczniejszym objęła go uściskiem, dodał:

— Musimy się rozstać... rozstać na zawsze, Dianno.

Kobieta cofnęła się szybko i badawczo spojrzała mu w oczy.

— Co ci jest Ludwiku? Zkąd przyszło ci do głowy tak rozpaczliwe postanowienie? Czy ci kto co powiedział? Co się stało? Tak to wywdzięczasz się za moje poświęcenie?

— Nie mogę dłużej przyjmować twego poświęcenia. Stanowczo musimy się rozstać. Nie postępując otwarcie z tobą zawiniłbym znowu względem ciebie. A i tak już dosyć zawiniłem względem drugich — dodał z boleścią.

— A co mnie obchodzą drudzy! — zawołała z uniesieniem Dianna. — Czyś ty powinien zajmować się nimi?

— Naturalnie że powinienem, skoro mam wymagać od nich największych poświęceń — pewnym głosem odpowiedział Ludwik.

Twarz pani Olifaunt przybrała wyraz złośliwego zadowolenia.

— Chodzi ci o babkę, nieprawdaż? I o żonę? Do czego to doszło, że przy mnie myślisz o nich.

— Nie powinnaś mi tego wyrzucać, wszak wiesz jak one są nieszczęśliwe...

Ludwik nie mógł dokończyć, wzruszenie głos mu odjęło.

— Wiesz dobrze co te kobiety wycierpiały już przezemnie — zaczął po krótkiej chwili milczenia — jedyną ich pociechą był jeszcze dobrobyt materyalny lecz i tego wkrótce pozbawione będą z mojej winy. Jeśli więc moja obecność może w czemkolwiek przynieść ulgę w smutnem ich położeniu, obowiązkiem moim jest znaleźć się obok nich.

Dianna milczała a Ludwik dodał jeszcze z mocą:

— Poświęciłem dla ciebie Dianno żonę wtedy, gdy była bogatą i niezależną a postępowanie moje było w całem tego słowa znaczeniu niegodne; gdybym zaś teraz nie wrócił do niej, gdy zostanie biedną i upokorzoną, byłbym podłym!... Powinienem naprawić błąd mój i przynieść jej chociaż tę pociechę.

Piękna Angielka zadrżała, zrozumiała że Ludwik wymyka się z pod jej władzy i zwraca się ku kobiecie, którą nienawidziła z całej duszy. Tym sposobem zawiódłby ją ostatni cios, wymierzony przeciwko rywalce. Zamiast wydrzeć jej męża sama traciła kochanka. Myśl ta była, dla niej nieznośną, odparła więc ze zgryźliwą ironią:

— Wynagrodzenie krzywdy byłoby może dla niej nieco krępującą rzeczą a pociecha bezwarunkowo jest jej niepotrzebną!... Jeśli to tylko cię niepokoi, możesz bez wyrzutów sumienia jechać ze mną.

Na te słowa Ludwik stał się blado siny i chwytając panią Olifaunt za rękę zawołał:

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To o czem wszyscy wiedzą, z wyjątkiem ciebie naturalnie!

— Kłamiesz! — wybuchnął Klemens i z taką siłą ścisnął dłoń delikatną Dianny, że ta ostatnia aż krzyknęła z bólu.

Gwałtowny gniew zawrzał w jej piersiach, wyrwała rękę Ludwikowi i odepchnęła go tak silnie, że zachwiał się na nogach.

— Jeżeli tak trudno cię przekonać — rzekła — to ci ją pokażę na schadzce z kochankiem.

— Kiedy?

— Choćby i dziś wieczorem.

Groźna zmarszczka zarysowała się na czole Ludwika.

— Strzeż się jeżeli mnie zwiodłaś! — wymówił przez zaciśnięte zęby.

— A jeśli powiedziałam prawdę?

— Wtedy nic mnie już nie będzie krępować i pojadę z tobą.

Rzekłszy to skierował się ku drzwiom. Brakło mu tchu w piersiach.

— Dokąd idziesz? — spytała go Dianna łagodnie.

— Do klubu.

— Nie chcesz zostać przy mnie?

— Nie. Do widzenia dziś wieczorem.

Skoro drzwi zamknęły się za nim, pani Olifaunt przez chwilę siedziała zamyślona, z czołem wspartem na dłoni, potem roześmiała się ironicznie i rzekła głośno, jakby odpowiadając na własne myśli:

— Dość będzie jeśli zobaczy ich razem. Skoro zażąda usprawiedliwienia i rozgniewa się, Thauziat ubije go jak gołębia.

Piękna pani zasiadła przy biureczku w stylu Ludwika XV-go i napisawszy dwa bileciki zadzwoniła na pannę służącą.

— Odeślij natychmiast te dwa listy pod właściwym adresem — rozkazała — zawiadomisz mnie później czy zostały oddane do rąk własnych osób interesowanych.

W tej chwili wszedł do pokoju sir James. Dianna poprawiła fałdy sukni i długo w zwierciadle przypatrywała się sobie. Przegląd musiał wypaść pomyślnie, gdyż uśmiech zadowolenia rozchylił purpurowe usta pięknej pani, która zwracając się do męża rzekła:

— Już tak dawno nie widzieliśmy tego biednego Lereboulleya... być może, że byłam za szorstką względem niego. Proszę cię, idź na ulicę Le Peletier i zaproś go w moim imieniu na obiad.

Twarz sir James rozjaśniła się zadowoleniem.

— A przecie mówisz rozsądnie — rzekł. — Drogi, kochany przyjaciel, jak on się ucieszy tem zaproszeniem! Idę do niego natychmiast.

I złożywszy pocałunek na ręce żony, wyszedł niebawem.

Tymczasem w pałacyku Hérault niepokój objawił się późno, lecz za to potęgował się z każdą chwilą. Przez cztery dni Helena i babka wiodły jak zazwyczaj żywot cichy, spokojny i jednostajny. Helena z początku bez trwogi oczekiwała powrotu męża; nieobecność jego nie smuciła jej bardzo, bo choć znajdował się pod jednym z nią dachem, niemniej był od niej zdaleka jak teraz, gdy przedzielały go ziemie i morze. Emilia przyjeżdżała codzień i po upływie kilku dni coraz natarczywiej dopytywała się o Ludwika, tak że wkrótce zbudziła trwogę w sercu Heleny.

Młoda kobieta zaczęła badać przyjaciołkę lecz Emilia wykręciła się zręcznie i nic się od niej nie można było dowiedzieć. Helena przeczuwała jednak, że stać się musiało coś niezwykłego, to było aż nadto widoczne. Ale co mianowicie, tego Helena nie mogła już odgadnąć. Przypuszczała, że pani Olifaunt wyjechała z Ludwikiem do Anglii tak jak niegdyś z Lereboulleyem na morze Śródziemne. Może nieobecność męża przedłuży się z tego powodu, a może nie wróci już nigdy do domowego ogniska?

Słabość charakteru Ludwika i złośliwość Dianny, kazały się wszystkiego spodziewać. Wątpliwość Heleny rozwiała się wkrótce, lecz rzeczywistość przedstawiła się jej oczom w tak strasznych barwach, że lepiej byłoby nie wiedzieć o niej wcale.

Pewnego rana starsza pani Hérault weszła nagle do pokoju tej, którą nazywała córką i osunęła się na fotel niezdolna słowa przemówić. Twarz jej była zmieniona, ręce drżały nerwowo, snać tak szybko biegła po schodach, że w piersiach tchu jej nie stało.

— Wielki Boże! co się stało? — zawołała Helena, przejęta niewymowną trwogą.

Babcia spojrzała na Helenę i spytała drżącym głosem:

— Czy ty nie wiesz o niczem?

— Mów, mów, błagam cię babciu!... Umieram z trwogi...

— Ludwik zrujnował nas, Heleno!

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Heleny. Przez chwilę obawiała się czegoś gorszego.

— Nasz notaryusz pan Talamon wyszedł ztąd przed chwilą. Przybiegł tu coprędzej oznajmić m

o sprzedażach jakie Ludwik poczynił w tym czasie i rozkazach otrzymanych drogą telegraficzną. Zdaje mu się, że Ludwik postradał chyba zmysły... Radzi mi, abym mu odebrała nadane pełnomocnictwo... Co to wszystko znaczy? Talamon, który jest bardzo do nas przywiązany dowiadywał się na wszystkie strony i utrzymuje, że Ludwik rozpoczął jakieś olbrzymie budowy... Jeżeli to prawda, dlaczego ukrywał się przed nami? W każdym razie na budowaniu domów nie mógł się zrujnować, domy nie uciekną przecież... można je przecież ocalić... w tem musi być coś innego!...

Staruszka mówiła głosem drżącym od głębokiego wzruszenia. Siwe włosy wysunęły jej się z pod czepka i w roztarganych kosmykach spływały po obu stronach twarzy. Ona zawsze tak dbała o siebie, zawsze ubrana z taką starannością, dziś w takim nieładzie przedstawiła się notaryuszowi i przybiegła do Heleny, trwoga kazała jej zapomnieć o wszystkiem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

4 Grudnia 1888 roku.

Wielkie zakłady krawieckie, korzystając z przejazdu osób ukoronowanych, a przynajmniej blizkich tronu, urządzają na wyścigi wystawy zamówionych sukien i okrywek. W tych dniach widzieliśmy cały zbiór płaszczyków przeznaczonych do Lizbony dla królowej portugalskiej.

Pod względem formy nie różnią się od zwyczajnych: plecy u nich wcięte, klapy długie do ziemi, zastępują miejsce rękawów. Cała różnica polega na piękności pluszu lub aksamitu (w kolorach wydrowym, szaro zielonym i chryzantenowym), na bogactwie pasmanteryi i artystycznie rzeźbionych guzików, a szczególniej na przepysznem obłożeniu z soboli, błękitnych lisów i piór strusich. Tych płaszczyków opisywać nie będziemy, cena ich niedostępna, królowa tylko pozwolić sobie może podobnych fantazyi.

Inny zakład wystawił suknie wykonane dla księżnej Waldemarowej Duńskiej, z domu książąt Orleańskich. Te już cokolwiek łatwiejsze do naśladowania, a przytem są ostatnim wyrazem zimowej mody, dajemy więc szczegółowy ich opis.

Pierwsza suknia wizytowa, z miękkiej materyi *surah*, w kolorze *chrisanthene*, czerwono-fijołkowym. Spódnica okrągła do ziemi, stanik *à la Genlis*, przymarszczony wkoło, rękawy bufowane. Kołnierzyk z koronki szarej, przerabianej złotem. Szeroka szarfa z tej jak suknia materyi, otaczą stanik i spada z boku, związana na wielką kokardę. Kapelusik do tego aksamitny w tymże samym kolorze, na rondku położone płasko pióro strusie, okrąża je wkoło *en auréole*.

Druga suknia także wizytowa: spódniczka jedwabna w odcieniu śmietankowym, na przodzie i u dołu nagarnirowana koronką. Na to idzie polka z zielonego aksamitu; przybrana guzikami metalowemi; po bokach odwinięta koronka. Kapelusik w rodzaju toczka zielony aksamitny, przystrojony białą egretką.

Trzecia suknia na obiad, jedwabna w rzucik z drobnych kwiatków na tle białem. Stanik wycięty w chusteczkę na przodzie i na plecach. Szarfa do tego jasno zielona, bardzo szeroka, ułożona w taki sposób, że tworzy jakby gorsecik zachodzący na biodra; z boku spada wielka kokarda z końcami. Rękawy do łokcia bufowane, objęte u ręki przekręcaną wstążką zieloną.

Czwarte ubranie domowe. Lewitka biała z tkaniny wełnianej, stanik obcisły, opasany szarfą z szafirowego aksamitu, kołnierzyk stojący aksamitny, takież mankiety u rękawów.

Piąty kostyum do wyjścia na ulicę, spódniczka wełniała w kolorze stalowym, ułożona w proste zaprasowane fałdy. Żakietka otwarta, pod spód plastron naszyty stalkami i blaszkami srebrnemi, takież same mankiety. Kapelusik do tego popielaty kastorowy, okrągły, przybrany dwoma skrzydełkami.

Przy zbliżającym się karnawale, widzimy już po magazynach przygotowane suknie balowe dla młodych panien. Jedna z nich biała z tiulu jedwabnego, składa się z trzech rzęsistych spódniczek, równej prawie długości, bez garnirunku a nawet bez obrąbka. Stanik do tego *à la vierge*, wycięty okrągło, namarszczony dokoła; otacza go szeroki pas z materyi białej, tworzący rodzaj gorsecika, zapięty z boku na niewidzialne haftki.

Druga suknia z blado-różowego tiulu; ma dwie spódniczki: wierzchnia naszyta u dołu dziesięć razy wąziuchną wstążeczką z ząbkami (*ruban comete*); to naszycie zawraca się do góry z lewego boku. Stanik wycięty w chusteczkę, marszczony, krzyżuje się na piersiach. Dopełnia ubrania szeroka szarfa z materyi *surah*, związana z boku na kokardę.

Podobne suknie tiulowe, nosić będą w kolorach bardzo bladych, błękitnym, paliowym, zielonkowatym (*vert d'eau*) i śmietankowym.

W układzie włosów widoczna dzisiaj zmiana. Panienki a nawet i młode mężatki, układają nad czołem lekką fryzurkę, resztę włosów zczesują na tył głowy, zaplatają z nich warkocz, ten składają wpół i przewiązują kokardą w odpowiednim do sukni kolorze.

Nie przeszła jednak zupełnie moda zczesywania włosów wysoko, ta tylko nastąpiła odmiana, że warkocz przytwierdzony w górze grzebieniem lub szpilkami, odwraca się i pokrywa cały tył głowy, skrętem fantastycznym.

Na to potrzeba długich i bujnych włosów, a przytem ten rodzaj czesania nie łatwy i wiele wymaga czasu. To też u fryzyerów można znaleźć gotowe pukle i zręcznie ułożone skręty.

Dla młodych panienek na wieczory i bale, wystarcza kokardka z jasnej wstążki, w tym samym jak suknia kolorze; mężatki upodobały sobie podwójny dyadem z drobnych kwiatków: różyczek, stokrotek i t. p. Dwie takie gerlandki, wązkie na cal, idą nad czołem i przecinają utrefioną fryzurkę, sięgając zaledwie do ucha. Niekiedy jedna tylko gerlandka, bliższa czoła, ułożona z kwiatków, nad nią przechodzi druga z drobnych listków zielonych.

Używane też bardzo podwójne opaski haftowane na aksamicie złotem, srebrem lub perełkami. Wiążą je w tyle głowy wstążką spadającą w długich puklach.

Na wieczory i do teatru starsze osoby noszą małe turbaniki z aksamitu, w kolorach: czarnym, ponsowym lub błękitnym. Strojniejsze haftowane złotem, inne dżetowemi perłami.

Mimo że zima dotąd bardzo lekka, nigdy jeszcze futra nie miały w Paryżu tak wielkiej jak teraz wziętości. Okładają niemi nietylko płaszczyki, ale kostyumy i strojne nawet suknie. Boa z różnego rodzaju futer, zacząwszy od soboli, aż do królików, tak się rozpowszechniły, że wytworne panie zarzuciły je i zastąpiły palatynką futrzaną lub też wielkim kołnierzem, sięgającym do stanu.

Wogólności moda przybrała cechę azyatycką. Te suknie aksamitne, haftowane złotem, owe plastrony naszywane błyszczącemi blaszkami i kamykami, te futrzane obłożenia u kostyumów, wszystko to nie harmonizuje z wytwornym gustem paryżanek.

Dają się też słyszéć częste utyskiwania na to niesmaczne naśladownictwo mody wschodniej. Miejmy nadzieję, że zwrot wkrótce nastąpi.

Z drugiej znów strony, angielska moda, jak już wspominaliśmy, znalazła wiele zwolenniczek. Mnóstwo tu widzimy kostyumów z angielskiego sukienka, obcisłych w stanie, przypominających krój męzki.

Fabryki lyońskie utyskują bardzo na tę anglomanią, tamującą rozwój narodowego przemysłu.

S. D.

WIADOMOŚCI Z RÓŻNYCH STRON.

W zeszłym miesiącu jakby na kolendę wigilijną, rozgadano się obszernie w pismach codziennych o nowym przemyśle, mającym miliony rubli przynieść krajowi w korzyści.

Smaczny to kąsek i świetna kolenda, a co ważniejsza nie żadna mrzonka w bujnej wyrosła wyobraźni, ale realność prawdziwie pozytywna, w krótkich obrotach zyski przynosząca.

Ciekawa to sprawa tylko wyjaśnienie jej cokolwiek kłopotliwe. Idzie tu bowiem o tak zwane chlewiki a właściwie o ich mieszkańców, których w postaci przerobów rzeźniczych spożywając z wielkim smakiem, nazwę ich wymawiamy z pewnem ociąganiem, jakby ze wstrętem.

Nim to zapewne powodowany p. G. Plewako zawziętą wypowiedział wojnę stworzeniom tym pożytecznym i w obszernym artykule ogłoszonym w Kuryerze Warszawskim, nietylko radzi je tuczyć na przedaż, ale i wychowywać na to jedynie, aby ich tysiące i krocie skazywać na gilotynę.

Krwiożercze to usposobienie ma jednak racyą bytu. Chodowla trzody chlewnej jest przeróbką produktów rolnych na towar żywy, zawsze łatwy do zbycia. A więc przysposabiajmy go jak najwięcej a otworzymy nowe źródło dochodu, dotąd ograniczonego szczególniej we dworach, do niewielkich zysków i to nie ściśle kontrolowanych. Gdy hodowla ta stanie się przemysłem oddzielnym zupełnie od gospodarstwa rolnego, wtenczas istotnie przysporzy nowy dochód bogactwu narodowemu, przedstawiającemu się jak dziś w szacie dalekiej od wykwintu zagranicznego.

Kraj tutejszy, powiada pan Plewako, posiada trzody chlewnej około półtora miliona sztuk, z te-

go na dwory przypada zaledwie jedna piąta część. Chociaż trzoda rasy miejscowej nie jest najgorszych przymiotów materyałem, to niemniej ulepszenie jej przez krzyżowanie z wielkiemi rasami angielskiemi, leży w interesie zarówno hodowcy, jak przedsiębierstwa, przerabiającego produkt na wywóz zagraniczny.

Spożywcy zagraniczni bowiem żądają od nas nie słoniny lub innych tłuszczów, ale przedewszystkiem i wyłącznie mięsa i to mięsa jędrnego i kruchego, jakiego jedynie dostarczyć są w stanie zwierzęta bardzo młode.

Otóż nasza krajowa rasa, wykształcająca się późno, nie jest zdolną w pierwszych życia swego okresach być doprowadzoną do wagi, opłacić mogącej należycie karmę i starania hodowcy, ani wydawać mięso tych wyborowych przymiotów, jakie na wywóz zagraniczny byłoby szczególniej pożądane.

Jak ilościowe pomnożenie trzody chlewnej przy znanej jej płodności jest dla hodowli dworskiej rzeczą bardzo łatwą, tak również łatwą jest i uszlachetnienie jej, rozwinięcie w niej przymiotu wczesności.

Koszt nabycia szlachetnej rasy knura lub knurka, jak słusznie mówi pan Aleksander Trylski w artykule „Trzoda chlewna" (Encykl. rol., tom V-ty, str. 562), nie przechodzi sił najmniej zasobnego dworu wiejskiego. Rasą, wskazaną przedewszystkiem do poprawy naszej trzody, byłaby rasa bedford, dająca produkt mięsny w tej chwili najwięcej poszukiwany.

Dopóki sztamy tej rasy nie rozpowszechnią się w kraju, z korzyścią używać można linkolnów lub yorkshirów, których wzorowo prowadzone zarodowe chlewnie znajdują się w Snopkowie, Garbowie, Prażmowie i Przerembie. Od młodu silnie żywione produkta czystej krwi w 5, a produkta z krzyżowania w 7 miesiącu swego życia mogą być stawiane na opas dwumiesięczny, poczem zdatne są już na rzeź. Zwierzęta starsze, trzymające wyższą wagę, tworzą już produkt drugorzędny. O ile więc hodowca zyska na ilości funtów, o tyle przynajmniej straci na ich cenie.

Jak się z powyższego okazuje, hodowla trzody mięsnej, zdatnej na wywóz zagraniczny, trwa 7 do 9 miesięcy i stanowi tem samem jedną z najprędzej likwidujących się operacyi rolniczych.

Szwalni dla ubogich dziewcząt istniało dotąd cztery. Piątą otwarto przed kilku dniami, na rogu ulic Czerniakowskiej i Szarej, a więc w sercu dzielnicy, zamieszkałej przez robotniczą ludność.

Aktu poświęcenia dopełnił ks. Romuald Goljan proboszcz parafii św. Trójcy, w obec zaproszonych pań: Maryi Józefowiczowej i Ludwiki Benniowej, oraz pp. Ludwika Szwedego, prezesa administracyi W. T. D., ks. kanonika Wierzbickiego, prezesa wydziała ekonomicznego, Ignacego Kisielnickiego, rz. r. st., Karola Nowodworskiego, Jana Gautiera i innych.

Zarządzającym zakładem jest p. Józef Sobolewski, protektorat nad szwalnią przyjęła p. Anna Szajblerowa, p. Bronisława Sobolewska zaś, mieć będzie najbliższy nadzór nad zakładem, którego dozorczynią jest p. Bronisława Szymańska.

Dziewcząt zapisanych do szwalni jest dotąd 46.

Pań opiekujących się szwalnią zakład posiada 30.

Na rzecz szwalni, jak dotąd, Towarzystwo akcyjne Szajblerów ofiarowało rs. 1,000, Augustowa hr. Potocka rs. 200, p. Ludwik Szwede rs. 100, Jan Tadeusz ks. Lubomirski w imieniu dwóch swoich córek (roczny wniosek) rs. 36, pan Kisielnicki rs. 30-ci.

Nie należy wątpić, iż na dalsze potrzeby zakładu wystarczy książka ofiar dobrowolnych, zaprowadzona przy jego otwarciu i znajdująca się na miejscu.

Wartki prąd emancypacyi kobiecej poczyna się wdzierać na pole rzeźbiarstwa przemysłowego, dotychczas wyłącznie uprawianego przez ród... upośledzony.

Oto dwie siostry Zabierskie po ukończeniu studyów w Wiedniu, otwierają pracownię w murach naszego grodu.

P. Zabierskie zamierzają wykonywać przedmioty rzeźbione w drzewie i kamieniu z zastosowaniem do ornamentacyi.

Nowe skarby. Z Wieliczki donoszą co następuje:

Dla zbadania pokładów w najbliższej okolicy kopalni wielickiej, jako też w celu poszukiwań pokładów soli, rozpoczął tutejszy zarząd salinarny w roku 1885, z polecenia ministeryum skarbu, głębokie wiercenie w Kossocicach, 3 kilometry na zachód od Wieliczki.

Otwór prowadzono do głębokości 330 metrów, t. j. aż do siągnięcia warstw wapiennych, stanowiących przęsła piaskowca karpackiego, a więc starszych od formacyi solnych (miocen). W głębokości 220 metrów natrafiono na cienkie pokłady soli, poprzerzynane iłem solnym, miąższości kilkumetrowej; drugi pokład soli wystąpił w 260 metrach otworu; obraz przekroju całego świdrowego, wystawionym był w roku zeszłym na wystawie krakowskiej. Obecnie rozpoczęto wiercenie drugiego otworu, odległego 350 metrów w kierunku południowym od poprzedniego. Już przy kopaniu szybu wiertniczego w głębokości dwudziestometrowej, napotkano na warstwy iłów, należących bezsprzecznie do formacyi solnej, a w głębokości 38 metrów na pokład soli gruboziarnistej (zielonej) nadzwyczaj czystej, jaka się znajduje zwykle w górnej części pokładów soli w kopalni wielickiej. Roboty wiertnicze prowadzą się dalej, pokładu soli zielonej dotychczas jeszcze nie przebito zupełnie. Dotychczasowy przebieg robót dowiódł znacznego podniesienia na tym punkcie warstw formacyi solnej i pozwala wnosić o znacznem jej rozwinięciu w tem miejscu. Bez wątpienia rzecz można, że w otworze świdrowym napotkane będą w dalszym ciągu pokłady innych, niżej położonych soli i co bardzo jest prawdopodobnem, jeszcze obfitsze od pokładów w starej kopalni wielickiej.

H. Schlieman, głośny archeolog niemiecki, którego wykopaliska greckie i syryjskie, sprowadzone do Berlina, tworzą już dziś pokaźne i nader pouczające muzeum, jest także jednym z najznakomitszych polyglottów w Europie. W 20 roku życia, kiedy był subjektem kupieckim w Amsterdamie, rozpoczął naukę języków, mających mu otworzyć drogę do bogactw i sławy. W pół roku nauczył się po francuzku, w drugie pół roku po angielsku, zaś języki: holenderski, hiszpański, włoski, portugalsk, russki, polski, szwedzki, staro i nowo grecki, łaciński i arabski przyswoił sobie jeszcze w krótszym stosunkowo czasie.

Zrobiwszy majątek w handlu, porzucił ten zawód i w późnym już wieku (dziś ma lat 66), zabrał się do poszukiwań archeologicznych, które po kilku latach pracy przyniosły mu obfite plony.

Ś. p. Józef Tański. W dniu 20 zeszłego miesiąca zmarł w Neuilly pod Paryżem w 81 roku życia ś. p. Józef Tański, przez długie lata współredaktor *Journal des Débats* i założyciel *Avenir militaire*. Ś. p. Józef Tański przesiedlił się do Francyi, gdzie w publicystyce poważną odgrywał rolę, dobił się pierwszorzędnego stanowiska i znacznego majątku. Zwłoki Tańskiego złożono na cmentarzu w Montmorency.

Ładny wiek. W Bordeaux, jak donosi *Goulois*, żyje stary weteran nazwiskiem Zaleski, który obecnie liczy 108 lat. Mieszka na ulicy Lecocq i żyje z pensyi miesięcznej 40 franków, udzielanej mu przez rząd francuzki. Należał on jeszcze ongi do „wielkiej armii" Napoleona I go.

— Straszliwie się oszukałem kupując w pańskim handlu parasol. Przed miesiącem dałem za niego siedm rubli a dziś proszę patrzyć jak wygląda? Jakby go kto wyciągnął psu z gardła.

— To dziwne — odpowiada parasolnik, oglądając go na wszystkie strony i kręcąc głową.

Po chwili obejrzawszy go starannie, pyta:

— Czy ten parasol przypadkiem nie zmokł kiedy?

* * *

— Iks to musi bardzo kochać żonę, bo nietylko cały pokój ma prawie przystrojony jej fotografiami, ale nawet w pugilaresie nosi jej odbicie.

— Eh! to nie z miłości tylko z przezorności, żeby nie zapominał, że żonaty, bo często zdaje mu się, że jest kawalerem i że mu figle kawalerskie przystoją.

* * *

Ukarana buta. W miasteczku G. w poznańskiem, w jednej z winiarń miejscowych, P. W. z Z. niemiec, właściciel dóbr, obejmujących jakieś 5 tysięcy morgów, w gronie swoich rodaków podochocony nieco, jął wygadywać na polaków, twierdząc, iż to hołysze, między którymi nie znalazłby ani jednego, coby bodaj 20 tysięcy talarów posiadał majątku. Gdy mu ktoś z obecnych zaprzeczył, p. W. uniósł się do tego stopnia, że pod *słowem honoru* ofiarował w zamian za wymienioną sumę oddać dobra swoje, byle mu pieniądze natychmiast który z polaków złożył. Wtedy to podszedł do p. W. p. Ż. z N., polak, także właściciel dóbr, a wyliczywszy co do grosza 20 tysięcy talarów, żądał wydania majątku. Oczywiście w ostatniej chwili p. W. cofnął się. Prawnie zmusić go do oddania majątku nie można; co jednak stanie się ze *słowem honoru?*

* * *

Kiedy arcy-książę Karol Ludwik zwiedzał niedawno miejscowość Szabadkę, na Węgrzech, burmistrz tamtejszy oprowadzał go po różnych zakładach, a między innemi i po szpitalu, którego urządzenie arcy-księciu się tak spodobało, iż wyraził swe zadowolenie burmistrzowi i radzie miasta. Tymczasem szpital ów był zaimprowizowanym specyalnie na czas przyjazdu arcy-księcia; dom w którym się mieścił, wynajęto tylko na kilka dni, sprzęty wypożyczono ze szpitala w sąsiednim mieście, zaś chorych, którzy leżeli w łóżkach, sprowadzono z kawiarni.

W pół godziny po wyjeździe arcy-księcia „szpital" wypróżniono.

Podobne szpitale nietylko w Węgrzech wyrastają jak grzyby po deszczu.

* * *

— Szanowny doktorze, już rok prawie jak cierpię na nieustający ból głowy, powiedz mi pan jaka tego może być przyczyna?

— Powody bólu głowy są niezmiernie rozmaite i często niepodobne do odgadnięcia...

— Ale mego, mego, kochany doktorze...

— Przyczyny bólu pana głowy, nie mogę oznaczyć, tak symptomata jego są różnorodne, ale tem się zupełnie nie kłopoczę, bo sekcya jasno ją wykaże. Będzie to ciekawa bardzo zdobycz, prawdziwy kruk biały w medycynie.

I medyk wyrzekłszy to zaciera ręce z apetytem, a z oczów bije mu zapał jak dwa węgle świeżo z żaru wydobyte.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami oraz katalog wydawnictw księgarni T. Paprockiego.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w przyszłym roku 1889, wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę. Część specyalna Pisma zawsze z jedną starannością prowadzona, ozdabianą będzie tak jak dotąd, przepyszną illustracyą paryzkich artystów, ogólnie za najlepszą ze wszystkich pism zagranicznych modom poświęconym uznaną. W części literackiej, oprócz artykułów poważnej i zajmującej zawsze treści, pomieszczone zostaną w roku przyszłym, nowelle i powieści pierwszorzędnych pisarzy, a między innymi:

J. Zacharyasiewicza, Klemensa Junoszy (K. Szaniawskiego), A. Półkozica (Niewiarowskiego), Zygmunta Grabowskiego, Zbigniewy Zmorskiej i wielu innych.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. Na prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5; rocznie rs. 10.

PRZYJACIEL DZIECI.

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

wychodzić będzie w roku przyszłym 1889, pod temi samemi co dotąd warunkami. Oprócz dodatku do każdego numeru, dołączanego, wprowadzone zostaną nowe dodatki od czasu do czasu dodawane, z nutami, z wzorami ubiorów dla lalek i z różnemi zabawkami zawsze miłemi a pożytecznemi. Illustracya także więcej zostanie rozwiniętą, głównie w dodatku dla małych dzieci.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie Kwartalnie rs. **1**. Na prowincyi z przesyłką pocztową: Kwartalnie rs. **1** kop. **25**. Półrocznie rs. **2** kop. **50**. Rocznie rs. **5**.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Chmielna Nr. 26 nowy.

Дозволено Цензурою, Варшава, 23 Ноября 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.